

WIECZORY RODZINNE,

CHASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.

[15]

TAJEMNICA^{RF} RODU.

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW,

przez M..a.

(Dalszy ciąg).

Tedy myślę, ja, co tam za sprawa?... aż król mówi dalej:

— Boć prawdziwie zawieść ku waszmości, a za-
zdrość niechrze-
ścijańską uczu-
wać musi każdy
ojciec, któremu
takim, jak wasz-
mość jesteś,
szczęśliwym oj-
cem być niedano.

I westchnął
ciężko król, pan
nasz miłościwy...
ale jam ode-
tchnął; zaczęm
król, wzięwszy
a roztwarłszy on
list, rzecze znowu

— Słuchaj, oj-
cze, któryś sobie
na szczęśliwość
ojcowską zasłu-
żyć u Boga umiał,
co sam król Lu-
dwik XIV w obli-
czu całego dworu
swego o synach
twoich rzekł, i

czytał król z listu: „Mówcie wy mi co chcecie, a ja
wam powiadam, że w tej północnej Polsce musi
bardzo nie wiele takich być młodzianów, jako ci tu
obecni dwaj kasztelanice krakowscy, Sobiescy, bo
gdyby wielu takich tam było, toby Polska ta nie-
chybnie pod każdym względem wyżej po nad Fran-
cyą naszą stała, i potężniejszą była“.

Król czytać przestał i znowu westchnął, a jam
się ze szczerzego serca panu dobremu skłonił, dzie-
kując, nie z dworskości, ale prawdziwie, za tę
pocztową dobroć jego, iż mi przyjemne one słowa
listu sam osobiście poznać dawał. I myślałem, że
to już wszystko; aż rzecze król:

— Słuchaj-no waszmość, panie kasztelanie,
a bracie miły, co to mi tedy do myśli przyszło we-
dle synów twoich, kiedyć to oni tak umieją honor

ziemi swojej czy-
nić, a i tak, jako
od waszmości
wiem, w dalszą
peregrynacją
udać się mają,
ażaliby też nie
dobrze, a i nie
z pożytkiem dla
kraju było, gdy-
byś ich waszmość
z panem podko-
morzym lwow-
skim, wielkim po-
słem królestwa
naszego, posłał
do Turcyi?“

Jak się dopiero
niemają przedłu-
żył dyskurs ów
pana miłościwe-
go. I stanęło na
tém, że za łaską
pana miłościwego
pojedziecie do
Turcyi z posel-



Jan Sobieski.

stwem naszym, a z posłem panem podkomo-
rzym lwowskim, Miaskowskim; a no rozum radzi,
abyście w podróż tę inne przybrali nazwisko, gdyż
wedle samychże słów królewskich, wam, wnukom
i bratankom tylu śmiertelnych wrogów pogaństwa,
słuszna jest pod własnem mianem obawiać się
przeszkody w bliższem poznaniu kraju. Chodzi tu

zaś o głębokie rozpatrzenie a zbadanie onego potworu ottomańskiego przez was, w tój tam jego norze domowej, której miano Stambuł. Rze- z chodzi o przeniknięcie najszybszych tego potworu zwyczajów, fortelów, i słabych jego stron; tego nieprzyjaciela, z którym Opatrzność tylokrotnie kazała walczyć dziadom i rozkaże zapewne wnu- kom waszym. A zaś tegom pewien, że ani świę- tości i życzliwości paryzkie, ani zgola nic nie sprawi, iżbyście zapomnieć mieli sensu onego to najpierwszego z lat pacholących czytania, którego uczyła was matka wasza, pani kasztelanowa, mnie wielce miłościwa pani a małżonka, w żółkiewskiej świątyni, na czarnych marmurowych pomnikach krewnych waszych. Toż ze wszystkich racyj tych, ma peregrynacja wasza wcale nie zakończyć się w Stambule, lecz zwiększając i niebezpieczeństwa wasze i zaszczyty, po pilnem waszém obeznaniu się z osmaństwem europejskiem, na cel ten wtajemni- czenia się w serce potworu, zaprowadzić was aż do onego serca, czyli jego kolebki, w Azji...—Na tём niby to już skończyła się rzecz królewska ze mną o tój sprawie, ale muszę wam nieco więcej rzec, abyście też zacność pańską króla naszego wie- dzieli. Tedy było tak, że król miłościwy ofiaro- wał się wszelkie sumpta na was w tój podróży z własnej prywatnej ponieść szkatuły. Bo — po- wiada — juźci będą synowie waszmości ważyć ży- cie swe w imprezie za ojczyznę, tedy słusznaby była rzecz, aby sumpt od ojczyzny na to mieli, a no, jakbym ja jeno pisał o rzeczy tój na sejmie, toby się narobiło takiego wrzasku a szczęku i brzę- ku o koszt, że wprzódby Turek o tём wiedział, niżby panowie szlachta na jedno się zgodzili. A no, że o tajemnicę przedewszystkiem idzie rzecz, tedy cyt! i sza! mości kasztelanie! Na sumpta *ja* daję, a waszmość dwóch *przecanych* synów mądrze chowanych dajesz! więc nie mój to, ino waszmo- ścin królewski dla Rzeczypospolitej dar! bo i Pan Bóg droższego nie miał, jeno syna swego za grze- chy świata ofiarował. Zaczem dalipan ze szczer- ego serca pan ramiona do mnie wyciągnął, a jam się w nie rzucił serdecznie. Anom rzekł: Nie tak, miłościwy panie! bo kiedy ja w rzeczy a pra- wdziwie, jakoś rzekł, największe dobro moje, to jest synów moich ważyć, to nięchże już wolno mi będzie i mniejsze dobro, to jest grosz mój uczciwy na tęż imprezę ważyć; aby w historii nie śmiano powie- dzieć, iżem mnię synów ważył niż złoto!

Tedy jakom ja tak rzekł, to już prawdziwie, nie rozumując o względach żadnych, ścisnął mnie a całował i znowu ścisnął król, pan nasz miłościwy, i rzekł prawdziwie już dla tego, że ktoś tam z pa- nów Rady wchodził:

-- „Ten jest brat a syu mój najmiłszy, który

więcej niż życie własne w sprawie Rzeczypospo- politej waży! — Natenczas jużem ja sprawiedliwie nie jak pański poddany, ale wcale jak równy ró- wnego pana mego uściskał, i rzekłem, ani już wie- dząc co mówię, ino mówiąc ze zbytniej pełności serca mego: — Panie Boże tak daj, aby każdy na przyszłość król a szlachcic tyle umiał w sprawie ojczyzny ważyć, ile my w tój chwili. A pan rzekł:

— Tak! daj Panie Boże! po trzykroć Panie Boże daj! — i popłakaliśmy się, i na tём skończyła się w cudzych oczach rozmowa królewska ze mną, o czém żywy duch więcej się nie dowiedział nad to, co onemu wchodzącemu umyślnie widzieć po- zwolono.

Tedy zwańczę wy, mili synowie moi, jako wie- le na młode wasze głowy się zleca, i jako dotąd mojej, tak i dalej godnie odpowiedźcie ufności pana miłościwego naszego. Kontynuujcież więc nauki wasze w Paryżu, a i przystojne zabawy też, boć to właściwa rzecz wiekowi waszemu, a na te- raz i konieczna, by zaraz nie pomyślano, że co ważniejszego zamyślacie, gdybyście pospolitych zabaw zaniechali... Zaż skończywszy nauki w Pa- ryżu, wedle pierwotnej instrukcyi mojej pojedzie- cie do włoskiej ziemi, gdzie oglądając a badając, co tam w rzeczy do oglądania jest, będziecie przy- tём, wyszukawszy właściwego mistrza, wprawiać się w szermowanie. Boć wszystko dobrze umieć, co jeno można, a one uczone ze szpadą obroty to i potrzebna rzecz; z włoskiej ziemi zaś, odpo- wiednio tam poczekawszy, popłynię morzem do Turcyi, towarzysząc poselstwu, które już tam bę- dzie powiadomione o was ze strony pana miłości- wego naszego, w tajemnicy i to we wielkiej taje- mnicy, co i wam solennie zalecam, jako i utajenie miana szlacheckiego waszego, ku bezpieczeństwu waszemu. Myślę, że pilne owe języka tureckiego badanie, które wam zalecałem dawniej, dobrze się przyda obecnie. Więcej w sprawie tój ważnej wy- gotuje się w następnym liście, a no tymczasem, bacząc, ile każdy dzień na padole tym jest niepe- wien, posyłam wam i teraz rodzicielskie solenne błogosławieństwo, tak na tę podróż, jako i na dal- szy żywot wasz zacny i dalej, a zaszczytny, jako tuszę, co daj Boże amen”.

O ile list ten ojcowski i zawarte w nim ważne nowiny zajęły i ucieszyły młodych kasztelanów, dziś modnych wielce kawalerów wielkiego świata paryzkiego, o tyle uroczystsze jakoś zakończenie tego listu natchnęło ich niepokojem i tęsknotą jakąś niewytłómaczoną. Uczucie to owaładło tak bardzo żywym Janem zwłaszcza, że podobno, za- myślony więcej, niż to chciał pokazać, ograny został okrutnie w szachy, w onym właśnie czasie, na dworskim wieczorze, przez maluczną pannę

Maryą Kazimirę, hrabiankę d'Arquin, która uśpiała już przez owe kilka miesięcy z Polski powrócić, i znowu się tam wybierała z powrotem, jako ulubienica Polskiej królowej. Maluchna ta panna nie straciła też czasu, bo oprócz „waszmość” umiała teraz już rzec: „mości panie” i „kasztelanicu krakowski” a zapowiadała, że za przyszłym widzeniem się z kasztelanem krakowskim Janem, będzie już umiała po polsku tak dobrze, jak on sam.

Całą duszą zajęci tajemnym, a tém ważniejszym swym posłannictwem, młodzi kasztelanice do poprzednich nauk dodali teraz jeszcze naukę gruntowną tureckiego języka, który i tak był im już dobrze znajomy. Jan zapominał teraz światowych zabaw dla tej nauki; Marek mniej mówił, ale tém więcej myślał o ojcowskich i królewskich zamiarach; Francuzik domowy, nie wiedzący o niczym, w głowę zachodził nad nagłą gorliwością do nauk, a ostygnięciem dla zabaw, starosty jaworowskiego. Gdy tak śpieszą z nauką młodzi panice, schyleni nad księgami, pewnego poranku otworzyły się drzwi ich pokoju, i obu braciom, nie wiedząc czemu, dziwnie ścisnęły się serca jeszcze wprzód, zanim na list, który im niesiono, spojrzeli. List ten był od kasztelanowej: kasztelan już nie żył. W pięćdziesiątym ósmym roku życia, w trzy miesiące po otrzymaniu najwyższej świeckiej w kraju godności, wzorowy obywatel i ojciec ten oddał Bogu ducha, błogosławiąc zebraną na kolanach około jego łoża rodzinę, i zdoławszy w ostatnich jeszcze chwilach nakreślić niewyraźnie już wyrazy ojcowskiego błogosławieństwa dla oddalonych synów. Dwaj bracia, jak piorunem rażeni, długo milcząc wpatrywali się w to ostatnie błogosławieństwo, zanim Jan młodszy, jakby przerażony, przytulił się do piersi brata, niby opieki szukając w sieroctwie... Marek uściskał go, i dopiero wspólne łzy ulgę przyniosły młodym, boleścią ściśniętym sercom.

— I co my teraz robić mamy? pani kasztelanowa donosi tylko o nieszczęściu, nic więcej! — rzekł tegoż samego wieczora Jan, załamując ręce, gdy pierwsze wrażenie przeszło o tyle, że dwaj bracia mogli przynajmniej rozmawiać ze sobą. Marek nie miał jednakże odpowiedzi na to pytanie: obaj czuli się niby żeglarze na pełnym oceanie, którym nagła burza połamie ster i maszty, a wicher busolę uniesie. W czasie długiej ciszy, która nastąpiła po owym pytaniu, dał się słyszeć we wstępnym pokoju gwar jakiś, ktoś podobno chciał wejść, a służba wzbraniała się wpuścić. Dwaj bracia spojrzeli na siebie wzajem z wyrazem, który znamionował nieudaną niechęć do przyjmowania odwiedzin, gdy drzwi rozchyłono i nieproszony

gość wparł się prawie gwałtem do pokoju, przekładając szemrzącej służbie, że on o nieszczęściu domowym już wie, i że właśnie z kondolencyjami przychodzi. Był to jeden z licznej młodzieży tej właśnie, z jaką bliższych stosunków unikali kasztelanice z ojca rozkazu. Sypiący często złotem, jakby kopalnie złota posiadał, czasem nie posiadający ani franka, ale bawiący się huczno i hulaszco zawsze, pan hrabia ów uchodził jeszcze u jednych ludzi za bardzo bogatego, gdy inni utrzymywali, że lada chwila dostanie się do więzienia za długi. Młodzi bracia, acz nie radzi odwiedzinom, po chwili jednak uczuli się ujęci serdecznością gościa, który bądź co bądź, przecież rozrywał ich w tém przerażającym uczuciu osamotnienia, które było dla nich okropnym. Gość, rozmowę sam prawie utrzymując, prędko spostrzegł, iż skłaniały się ku niemu młode serca gospodarzy i pozwalając sobie na coraz serdeczniejszą poufałość, zapytał wreszcie prawie tak, jak młody Jan sam siebie przed chwilą zapytał:

— No, i cóż panowie zamyślacie teraz z sobą?
— odpowiedziano mu tylko wymownym milczeniem, hrabia mówił dalej:

— Nie macie odpowiedzi? może nie macie jej nawet dla siebie samych. O tak! znam ja to; człowiek w takiej chwili, jaką wy przebywacie, jest niby statek pozbawiony nagle sternika. I ja to przebywałem niedawno; i powiem wam, że dopiero po przejściu tej boleści uczułem się skończonym człowiekiem, bo boleść jest niby ogniową próbą dla dzielnego serca. Nie wiem, jak tam było z przeznaczonym kasztelanem, ojcem waszym; co do mego ojca, był on także najzacniejszym z ludzi, ale, jak to bywa czasem z wiekowymi ludźmi, skąpy był okropnie! Z powodu tego skąpstwa najlepszego zresztą ojca, siedziałem ja dawniej w Paryżu, jak w jakim klasztorze na rekolekcyach, wśród ksiąg i rozmyślań, a za największą już zabawę wolno mi było bywać na dworskich i innych arystokratycznych, wielkoświatowych salonach, gdzie nudniej jest daleko, niż na wesołych zgromadzeniach młodzieży. Ale mnie zakazane było do takich zgromadzeń uczęszczać, wystawiono mi je nawet, jako złe i zgubne, a wszystko to czyniono przez najpocziwsze w świecie skąpstwo, boć nie dla kogo zbierał dobry ojczyisko pieniądze, tylko dla mnie. Nie mniej przeto, gdybym był dłużej żył w książkach i na królewskich tylko salonach, byłbym nigdy pewno dojrzałym człowiekiem nie został i zawsze potrzebowałbym, aby mię jak dziecko na pasku wodzono. Dopieroż zostawszy panem własnej woli i wszedłszy w świat prawdziwy, to jest między wszelką młodzież bez wyboru, nauczyłem się żyć prawdziwie i ludzi od ludzi od-

różnić, i już odtąd nigdy nie czułem się nieszczęśliwym owym statkiem bez sternika, bo sam sobą sterować się nauczyłem. I z wami tak będzie, moi panowie, gdy przejdą pierwsze chwile waszego smutku. Żeby zaś prędzej przeszły, poznam was bliżej z kilku przyjaciółmi memi, bo i tak na dworskich balach teraz wam bywać nie wypada, więc bez koleżeńskich serc pocziwych, powaryowalibyście z nudów w osamotnieniu.

To powiedziawszy, zabierał się hrabia do odejścia, zapowiadając, że jutro znów wraz z kolegami swymi kasztelaniców odwiedzi. Zaledwo oszołomiony jego wymową i serdecznością Marek zdobył się na odpowiedź, że właśnie w pierwszych chwilach nieszczęścia, żadną miarą wesołego towarzystwa żadnego widzieć nie chce i nie może, gdyżby ono czyniło mu przykrość prawdziwą, równie jak i bratu Janowi. Pan hrabia nie chciał się zbytnio narzucać i odszedł, zapowiadając jednak częste swe odwiedziny. Po jego odejściu dopiero i po spokojnem zastanowieniu się nad jego słowami i możliwym celem tych odwiedzin, domyślili się kasztelanice, że pan ów był po prostu niby wysłannikiem owęj hulaszczej młodzieży, która nieraz już próbowała wciągnąć bogatych Sobieskich do swego towarzystwa. Podobno nie umiając sobie wytłómaczyć inaczej oporu grzecznych kawalerów, ale i posłusznych tych synów, wytłómaczono go sobie skąpstwem mniemanem kasztelana, i teraz po jego śmierci zarzucono znowu wędkę na niedoświadczonych jak sądzono kasztelaniców, niby na złote rybki jakowe. Boć oczywistym celem takich paniczów jak hrabia, w podobnych razach, jest hulać sobie za cudze pieniądze, gdy się już własne straciło. Gdyby zmarły kasztelan był w istocie tém, czem go owa hulaszka paryzka młodzież sądziła, to jest skąpcem i nic więcej, a jego synowie spragnionymi używania ojcowskiej fortuny, jak również ich sądzono, byłoby się udało może panu hrabiemu zaprzyjaźnić się z nimi. Ale rzeczy nie tak się miały. Kasztelan umiał własnym rozumem synów niedoświadczenie zawczasu uzbroić. A ci synowie, pomimo młodości i gorącego nawet, zwłaszcza w młodszym Janie, do zabaw upodobania, byli pełni czci dla woli zmarłego, wcale nie mniej teraz, niż za jego życia. Może i bardziej jeszcze, bo jak tegoż jeszcze wieczora mówił Marek do brata:

— Gdybyśmy w czémkolwiek nie spełnili woli kasztelana za żywota jego, a onby rozgniewał się na nas, to jeszcze przecież można go było przeprosić... ale teraz...

— Tak, teraz już nic nie pozostaje, tylko ślepo instrukcyi się trzymać, a wolę kasztelana w niej wyrażoną pełnić! — powiedział stanowczo Jan.

I natychmiast dwaj bracia zwrócili się znów do książek, porzuconych przez dzień jeden zaledwo, tak, jak przy nich straszna nowina zastała Sobieskich. W taki sposób rozwiązane zostało owo prawdziwie sieroce pytanie, które Jan przed parą ledwo godzinami sobie i bratu zadawał, ręce załamując:

— I co my teraz robić mamy?!...

W skromnem więc mieszkaniu Sobieskich pracowano teraz nad książkami dwa razy jeszcze tak gorliwie, jak dotąd, bo i ulgę w sierocym smutku znajdowano w nauce, i dwa razy więcej czasu było na nią teraz, gdy na wszelkie w salonach zabawy przestano dla żałoby uczęszczać.

Z panem hrabią, koniecznie wpraszającym się ze swą przyjaźnią, kłopot był przez czas jakiś, a choć hrabiego wkrótce po raz pierwszy do więzienia za długi wsadzono, to nie zbrakło innych jemu podobnych paniczów, którzy się do cichego mieszkania Sobieskich wdzierali. Domowy Francuzik nic wcale nie rozumiał postępowania swoich młodych panów, do których był po swojemu przywiązany, dziwiąc się niesłychanie, zwłaszcza Janowi, że *czas traci* nad książkami teraz, kiedy panem swęj woli został. Francuzik zawsze nic o zamierzonej misyi do Turcyi i Azyi nie wiedział, a sam, na miejscu pana Jana, byłby pewno hulał na zabój. Zdarzało się też, że przez niego najprędzej obcy panicze mogli dostać się do Sobieskich, a na stałe tych wstrzymywanie się od zabaw, pod pozorem żałoby, Francuzik odpowiadał nieraz klnąc po cichu w przedpokoju książki i uczoność.

— A ja tam bardzo kontent jestem z naszych chłopców! — powiedział raz stary a mądry Łukasz, słysząc owe ciche dąsy Francuza.

— Ty *canaille*! — wrzasnął nań Francuzik pięść podnosząc — jak ty śmiesz twoich panów chłopcami nazywać! Tyś kontent *canaille*! a kto dba o to, czyś ty kontent! — i trząsł się Francuz z gniewu.

— Głupis! — odrzekł Łukasz z wolną — takich brzydkich przezwisk używają u was we Francyi, u nas zaś w Polsce podobnych niema; są tylko wierni i kochający panów swych domownicy, którym wolno jest pańskie dzieci swoimi chłopcami nazywać, bo my pańskich, tak jak własnych chłopców, synów naszych, kochamy. O! gdyby mi tylko wolno było, potrafiłbym ja w to, tak z mańki tych francuzkich paniczów zejść, żeby sami przestali dzieciom w nauce przeszkadzać.

— A to spróbuj! zrób tak, mój Łukaszu! — poprosił Jan Sobieski, który na wrzaski Francuzika aż drzwi uchylił i rozmowę tę słyszał.

Właśnie tegoż wieczora znowu kilku paniczów odwiedziło Sobieskich, a lokaje ich gawędzili

w przedpokoju z Łukaszem. Francuzik domowy płatał się po domu, zły czegoś okrutnie, aż po odejściu gości, z krzykiem przeraźliwym przypadł do Sobieskich, przesadnie, jak to było w jego naturze, opowiadając, że „stara *canaille* Łukasz” znieważa, hańbi i gubi panów swoich!

Marek, ramionami tylko na Francuza wzruszwszy, spytał śmiejącego się we drzwiach Łukasza, co tam za nowa zwada zaszła między nim i Francuzem? A Łukasz opowiedział, że z Francuzem nic nie miał do czynienia, tylko lokajom przybyłym z gośćmi zwierzył się na ucho, że u panów jego bieda jest wielka, a fortuny własnej tak jak żadnej niema, bo żyło się zawsze tylko z intratnych starostw, jakie ś. p. kasztelan posiadał: „a no urwało się to wszystko ze śmiercią kasztelana, starostwa dożywotnie poszły w inne ręce, i teraz bieda u nas, że siekiera nie urąb... tyłem im tylko pod wielkim sekretem wygadał” — mówił Łukasz, chytrze się uśmiechając do Marka.

— A kto wie, może to i pomoże? — rzekł Marek do brata. Francuzik ręce łamał *desperując*, że plotka Łukasza zniweczy całą Sobieskich karierę, gdy w salonach królewskich rozgłosi się, że świetni kasztelanice krakowscy są tylko ubogą szlachtą! Tymczasem Jan z cicha mówił do brata:

— Może ten Łukasz lepiej zrobił, niż sam sądzi... bo gdy w podróż pod przybranem nazwiskiem się puścim, to najlepšíby było, aby ze wszystkiem na czas o nas w Paryżu zapomniano, a już o ubogich ludziach najprędzej chyba zapomną?

Marek przyznał bratu słusność, a niedaleka przyszłość dowiodła, że Łukasz trafnie owych przyjaciół, narzucających się jego panom, osądził; od owęj Łukaszowęj plotki bowiem, przestała hulaszczka młodzież przeszkadzać pracującym Sobieskim. Francuzik domowy rozchorował się ze zmartwienia; ale za to pogodził się z Łukaszem, który wraz z Sobieskimi pielęgnował go serdecznie w chorobie.

Kilka więc jeszcze miesięcy w zupełnym spokoju uczyli się całą duszą Sobiescy, o zmierzchu tylko pozwalając sobie na chwilę wytchnienia, którą spędzali zazwyczaj siedząc obok siebie na sofce i gawędząc, po bratersku istotnie, jak może nigdy wprzód nie gawędzili, bo pod ciężarem nieszczęścia serca ich jeszcze bardziej niż dotąd zbliżyły się do siebie. Wtedy to, w jednej z takich gawędek, opowiedział Marek bratu to, czego dotąd nigdy nikomu nie mówił: owę pierwszą swą do starego Justusa wycieczkę, i wszystko co zaszło wówczas i co było mówione. Jan słuchał z wielkiem zajęciem, i z całego serca podzielił zdanie brata co do smutnej tajemnicy ich rodu.

— Tak, ani wątpić, że stary Justus pamięta jakiś domowy *casus*, jakąś bardzo dawno zaszłą pomiędzy przodkami naszymi kłótnię, którą chcąc pohamować, czy też skarcić, któraś z babek naszych wyrzekła groźne owe pod portretem napisane wyrazy. A jeżeli błogosławieństwo rodzicielskie spełnia się, jeżeli przed przekleństwem słusznie tak drżymy, to i dla czegożby inne rodzicielskie słowa nie mogły się stać wyrokiem dla dzieci...

— Ale coby też to mogły i powinny te dzieci czynić, aby srogość owego wyroku przebłagać, i nieszczęście rodowe zakłąć?..

Tak gawędzili bracia Sobiescy, przeróżne wynajdując na zakłęcie owego nieszczęścia sposoby, postanawiając, że nigdy, w żadnym razie, ich „dom nie rozdzieli się” więcej przeciw samemu sobie; ani że żaden z nich nie przyczyni się nigdy do rozdzielania się przeciw sobie owego wspólnego wszystkim domu, którego rozdzielenie spowodowało niegdyś klęskę cecorską; a obiecując sobie, że gdyby kiedy znaleźli się w położeniu wuja Daniłowicza naprzeciw owego Kalinowskiego, to raczej zniosą wiele od starca, niżby powstać przeciw niemu mieli.

— A może wyrok prababki ostateczne już będzie miał na nas spełnienie? może na nas, może niezadługo zginie ród nasz, trzeci i ostatni z dzwigających dziedzictwo nieszczęścia?

— A może siostry nasze znów wraz z Żółkwią i tamto dziedzictwo w czwarty jeszcze jaki ród wniosą?

— Bądź co bądź, trzeba się uczyć, instrukcyi słuchać, i gotowymi być, aby w razie sposobności, choćby ofiarą własnego życia, zakłąć nieszczęście.

W ten sens rozmawiali i takiem najczęściej postanowieniem kończyli młodzi Sobiescy braterskie gawędki, w chwilach przeznaczonych na odpocznik wśród nauk. Tymczasem, nauki te postępowały i nareszcie, po kilkunastomiesięcznym nad Sekwaną pobycie, kurs naznaczony instrukcją ukończony został. I znowu zimową porą, cicho pożegnawszy Paryż, w którym serdeczną przecierpieli boleść, wyjechali zeń kasztelanice do kraju słońca, do Włoch uczonych.

— A co, alboż nie spełniła się Justusowa przepowiednia, albow to nie spotkał w tej podróży i nie ujrzał na żywe oczy pierwszy raz troski mego żywota? — rzekł starosta jaworowski ze smutnym głową wstrząśnięciem, patrząc na znikające wieże paryżkie.

— A tamtej maluskiej zgryzoty czy troski, którąś to waszmość wrzeszczącą z powozu niegdyś wynosił, czy nie spotkałeś więc w Paryżu, bra-

cie? — spytał Marek, chcąc Jana w smutnych myślach rozerwać. I udał mu się zamyśl, bo Jan, na samo wspomnienie małej panny dworskiej, rozśmiał się wesoło.

— Nie — odrzekł — od owego czasu, kiedy na królewskim dworze małe owolicho ograło mię, i jeszcze wyśmiało w dodatku zamyślenie moje, nie widziałem więcej tej wrzeszczącej troski. Jak myślisz brat, coby też to ojciec nasz, ś. p. pan kasztelan powiedział, gdyby siostra nasza Kasia taką mu kiedy niespodziankę na królewskich pokojach w obliczu całego dworu wyprawiła, jak ono lichota ta troska czy zgryzota wyprawiła wtedy ojcu swojemu na francuzkim dworze?

Na to Jana pytanie, Marek głowę podniósł i w oczy bratu spojrział, nie wiedząc o co rzecz:

— Nie wiesz to o tém waszmość!? — śmiejąc się spytał Jan znowu — prawdziwie byleś pan brat w owę chwilę w innym wcale salonie przy boku króla Ludwika, a no sądziłem, że tę rzecz opowiadał, choć na prawdę niema i co, jeno śmiech z tego. Było zaś tak, że przystąpiła do mnie tamta zgryzota małeńka, gdym się wśród wielu dam i panów dworskich konwersacją zabawiał, i jakoby jaka dama poważna rozkazała, bym jej ramię podał ku przeprowadzeniu jej przez salon. Com i owszem uczynił z wielką atencją, a no śmiejąc się, ile że jako brat wie, wszyscy się tam na dworze bawią małeństwem czupurném owém. Tedy ona, przeszedłszy tak ze mną salon, zastanowiła się przed grupą z dworskich panów złożoną, i stawiając mię przed jednym z nich, rzekła:

— Panie kasztelaniku krakowski, oto jest pan Ludwik de la Grange, marquis d'Arquin, mój ojciec, Seigneur de Beaumont et de Montigny, mości panowie, proszę poznać się bliżej ze sobą. — I zostawiwszy mię przed owym tam markizem, poszła sobie z wielką niby powagą od nas zgryzota owa. Pan d'Arquin witał mię z dworskością wielką i czeplił mi się na cały wieczór tak, że ledwo mógł sobie radę z nim dać. A mnie się wciąż po mózgownicy uwijało pytanie, jakby też to pan kasztelan podobną *inicytywę* w prezentacji od naszej siostry Kasi przyjął? Mnie się widzi, że chyba u nas po staremu różga była względem takiej wykwinutnej panny dworskiej w robocie? Jak myślisz waszmość? — Tak śmiejąc się opowiadał starosta jaworowski, a Marek głową wstrząsając rzekł:

— Ani chybi; ale też u nas nigdyby się taka czupurna a butna dziewczucha nie uchwalała, tak jak nigdyby pan kasztelan młodych kawalerów się nie czepliał i nie narzucał się im, jak ów pan markiz: ot, nie daleko pada jabłko od jabłoni i tyle.

A wspomnisz waszmość słowo moje, że ze śmiałości nad dziewiczy obyczaj a sprytności nad wiek małej panny d'Arquin owej, gdy ona lat swych dojdzie, nie będzie nigdy wzorowa białogłowa taka na ten przykład, jaką jest pani kasztelanowa, matka nasza, i jaką będzie Kasia, nasza siostra, ino będzie prawdziwa dla męża a pana swego troska i zgryzota z niej.

Tak mówiąc, wyjmował starosta krasnystawski, też samę, z którą przed kilkunastu miesiącami do Paryża jechał, książkę z bocznej kieszeni powozu, przeglądając w niej zawartą instrukcję ojcowską. Jan zabrał się także do przeglądania drugiej książki z notatami podróznymi; i ta była też samą księgą notat od ojca podarowaną, z którą do Paryża jechał, ale teraz była ona już w jednej trzeciej części zapisana, i notaty w niej robione były ojcowym niegdyś sposobem, to jest każda w takim języku, jaki był językiem kraju, w którym się piszący znajdował w danej chwili.

(D. c. n).

ZMARTWYCHWSTANIE.

Miłosierny Boże, Panie!

Ty pasterzu dusz,

Stwórz w nas przez twe zmartwychwstanie,

Nowe siły stwórz!

Któryś synem był posłusznym,

Jak chciał Ojciec Bóg,

Wzmocnij serca małoduszny,

Pośród życia dróg!

Któryś na twój Matki słowo

Pierwszy sprawił cud,

Pokrzep, Panie, myślą zdrową

Całej ziemi lud!

Któryś zwalniać ukaranie

I przebaczać rad,

Daj nam w dobrém *Zmartwychwstanie*

Z naszych wszelkich wad.

Kukułka z nad Bzury.

MIŁOŚĆ BRATERSKA,

OPOWIADANIE Z DZIEJÓW WYNAŁAZKÓW.

Obszerny dziedziniec gmachu szkolnego zaledwie mógł pomieścić liczną gromadkę młodzieży.

Przed chwilą właśnie dzwonek oznajmił godzinę rekreacji i wszystkie klasy wysypały się jednocześnie z podsielni, chłopcy rozmaitego wieku i wzrostu biegli, potrącali się, podskakiwali, śpiesząc do zabawy, aby nie stracić ani jednej chwili swobody.

Działo się to przed stu laty, w okolicy francuzkiego miasta Angers. Dawniej, tak samo jak dziś, we wszystkich krajach cywilizowanych najulubieńszą zabawą szkolnej młodzieży była piłka, więc i tam zaraz utworzyło się kilka kółek do tej gry, wedle wieku i godności; bo uczeń piątej klasy, choćby i najmłodszy, nie może przecież bez uchybienia sobie i kolegom bawić się poufale z pierwszoklasistą. Bawiono się ochoczo, a piłki latały w powietrzu wśród wesołego gwaru i wykrzykników.

— Gdzie jest Chappe *), co się z nim stało, czy nie widział kto starszego Chappa? — wołano w jednym zakątku podwórza, gdzie najpyszniejsza gra się odbywała.

— Ach, ten niezdolny Chappe siedzi już na strychu razem z młodszym bratem — odezwał się drugi — a tu nikt nie potrafi tak doskonale prowadzić gry w odbijanego. Jeszcze i tę piłeczkę swoją, co tak doskonale skacze, nosi zawsze w kieszeni, nie chce jej dać nikomu, póki sam nie przyjdzie.

— A cóż oni tam robią na strychu? — zapytał inny uczeń, śnać mniej świadomy zwyczajów braci Chappów.

— Ba, ty niedawno przybyłeś do naszej szkoły, to jeszcze nie widziałeś zabawnego przyrządu tych chłopców — odezwał się pierwszy — ale spojrzij w górę a obaczysz. Właśnie obaj siedzą w okienku.

Chłopak nowo przybyły podniósł wzrok do góry i obaczył w małym okienku pod samym dachem wysokiego szkolnego budynku, najpierw głowy dwóch malców, a potem jakieś drewnianka, poruszające się nakształt skrzydeł wiatraka. Patrzył, otwierał oczy, ale nic z tego wszystkiego zrozumieć nie mógł.

— A cóż to oni tam robią? — zapytał.

— Dowiesz się od nich samych — odpowiedział tamten — bo przecież muszą przyjść za chwilę, jak tam się załatwią ze swojemi kabalistycznymi znakami. To jest wynalazek trzeciego Chappa, starszego brata tych dwóch, dowcipny bardzo wynalazek, niema co mówić. Oni tym sposobem znakami rozmawiają z bratem.

— Rozmawiają znakami? alboż on jest głuchoniemy, ten brat starszy?

— Ba! gdyby i najlepszy miał słuch, nie mógłby przecież dosłyszeć ich głosu o pół mili odległości.

— O pół mili? więc jego tam niema na strychu? a oni z nim rozmawiają?

— Brat starszy naszych kolegów jest w seminarjum na przedmieściu w Angers — odezwał się inny chłopak.

— No widzicie, jacy wy niepoczcivi jesteście, żeby takie sobie żarty ze mnie stroić — rzekł uczeń nowo przybyły i nadąsany odwrócił się od towarzyszy.

— A któż z ciebie żarty stroi? powiedzieliśmy ci czystą prawdę — wołali tamci, śmiejąc się — że tam pierwszego dnia trochę z niego żartowano, to już niczemu wierzyć nie chce i wszystko uważa za żarty. Patrz, patrz, idzie już starszy Chappe, on ci powtórzy toż samo, a jeśli mu się podobasz, to cię na strych zaprowadzi i pokaże przyrząd swojego brata seminarzysty. Chodźcie prędzej, chłopcy, i dawajcie piłkę, szkoda czasu, czekamy na was od kwadransa.

— Jesteśmy, jesteśmy — wołali dwaj chłopcy, zbiegający w tej chwili ze wschodów, a starszy dodał: — Musieliśmy wprzód się dowiedzieć, czy brat Klaudyusz zabierze nas w niedzielę na przechadzkę; już od dwóch tygodni nie widzieliśmy tego kochanego braciszka i stęskniliśmy się strasznie; ale Bogu dzięki odpowiedział, że będzie swobodny w niedzielę i otrzymał już pozwolenie spędzenia całego dnia razem z nami.

Uczniowie, którzy przed chwilą mówili swemu nowemu koledze o wynalazku braci Chappów, zwrócili się teraz do niego z tryumfalnym uśmiechem.

— Cóż, wierzysz teraz? — rzekł jeden — przecież nie namawialiśmy tego chłopaka, żeby ci plótł jakieś duby smalone; zresztą wcale nie do ciebie mówił.

Tamten stał z wytrzeszczonemi oczyma, nie zupełnie jeszcze dowierzał i obawiał się, aby go nie złapano na figle uczniowskie.

— Alboż co? — pytał starszy Chappe — któż to sobie znów pozwala uważać wynalazek brata Klaudyusza za smalone duby? pokażcie mi tego śmiałka.

— Cha, cha, cha — zaśmiał się jeden z chłopaków — otóż ten znowu zaczyna się indyczyć. Nikt przecież twojemu bratu nie zaprzecza dowcipu...

— Co to dowcipu! — przerwał Chappe zaperzony, — Klaudyusz jest rozumny, uczony, jak zostanie księdzem, wyjdzie pewnie na wielkiego uczonego.

— Ależ to wiadomo — mówił tamten, starając

*) Czytaj Sznap.

się ułagodzić chłopca, bo wszyscy uczniowie wiedzieli, że gdy szło o Klaudyusza seminarzystę, dwaj jego bracia, przejęci dla niego najwyższém uwielbieniem, gotowi byli z całą szkołą wystąpić do walki. Ale nowoprzybyły uczeń, nie znający jeszcze spraw szkolnych, słuchał téj rozmowy ze zdziwieniem i ciągle podejrzewał, że to jakiś nowy spisek na jego łatwowierność. Nakoniec spór się uspokoił, gra w piłkę rozpoczęła się w najlepsze i wszyscy na czas jakiś zapomnieli o Klaudyuszu i o jego wynalazku, oprócz owego ucznia, który chciał koniecznie tę rzecz wyjaśnić.

Gdy więc gromadka wesołych chłopaków, znudzona ruchliwą zabawą, przerwała ją na chwilę, on zbliżył się do starszego Chappa:

— Proszę cię, mój drogi — powiedział — powiedz mi, co to jest takiego ten wynalazek twojego brata. Tamci mówili, że wy z nim rozmawiacie znakami i możecie się porozumieć o pół mili odległości, ztąd aż do jego seminarium na przedmieściu. Jakimże to sposobem być może, toż byłby jakiś cudowny wynalazek.

— Cudowny, nie cudowny, ale genialny, to pewna — rzekł Chappe, który najchętniej zawsze rozmawiał o starszym bracie i lubił wysławiać przed kolegami jego mądrość i uczoność — zresztą sam się przekonasz, ja cię zaprowadzę na strych i pokażę nasz telegraf.

— Tele.... jak ty to nazywasz? cóż to znaczy?

— Telegraf — powtórzył Chappe, uśmiechając się z dumą — to jest także pomysł Klaudyusza, który doskonale umie po grecku. Nazwa ta składa się z dwóch greckich wyrazów, *tele* znaczy daleko, a *graphos* pisać. Telegraf nasz rzeczywiście pisze z daleka wszystkie litery i tym sposobem rozmawiamy.

Chappe zaprowadził na strych nowego swego kolegę i pokazał mu przyrząd obmyślony przez starszego brata. Prosty to był pomysł, ale bardzo dowcipny. Dwie linijki, osadzone ruchomo na dłuższej deseczce, poruszały się i obracały w różne strony, a każda kombinacja linijek oznaczała odmienną literę. W dzień pogodny można było doskonale rozpoznać te znaki za pomocą małej lunetki ze strychu seminarium, gdzie Klaudyusz Chappe miał drugi przyrząd podobny.

— Widzisz — mówił młody chłopiec z rozrzwieniem — myśmy się tak zawsze kochali z bratem Klaudyuszem, że kiedy go rodzice oddali do seminarium, a nas tu do téj szkoły, zdawało się nam wszystkim trzem, że tego rozstania nie wytrzymamy. Co chwila mieliśmy sobie coś do powiedzenia, zrazu chcieliśmy pisywać, ale nie łatwo było o posłańców, więc Klaudyusz, jak zaczął my-

ślić i przemyśliwać, wymyślił w końcu ten przyrząd. Nieprawdaż, że to świetny wynalazek? Zamiast pisać, wysyłać list i czekać z godzinę najmniej na odpowiedź, my w jednej chwili możemy się temi znakami porozumieć.

Nowoprzybyły uczeń przekonał się teraz, że z niego nie żartowano i serdecznie się z dwoma braćmi zaprzyjaźnił. Poznał się później i z Klaudyuszem i przejął się dla niego wielkiém uwielbieniem, na które zresztą młody seminarzysta zupełnie zasługiwał. Miał on wielkie zamiłowanie do nauki, zwłaszcza do fizyki i wszelkich przyrodniczych wiadomości.

— Klaudyusz wdał się zupełnie w stryja — mówił o nim zwykle brat młodszy — wszak wiecie, kim był mój stryj, ś. p. ksiądz Chappe d'Auteroche?

A jeśli który z kolegów nie znał dokładnie historii tego męża, młody chłopiec ciągnął dalej z zapalem:

— Ksiądz Chappe był znakomitym astronomem, i tak miłował naukę, że życie dla niej poświęcił. Towarzystwo umiejętności wysłało go na północ, do bezludnej syberyjskiej pustyni, do kraju dzikiego, aby tam obserwował za pomocą astronomicznych narzędzi przejście planety Wenus przez tarczę słoneczną. Takie obserwacje, dokonane w kilku miejscach oddalonych od siebie, służą uczonym do obliczenia odległości słońca od ziemi.

— A na cóż im ta wiadomość? — odzywał się czasem który z młodszych.

— Jak to zaraz znać — odpowiadał z pogardliwym uśmiechem Chappe — że nigdy nie miałeś do czynienia z uczonymi ludźmi; nie pojmujesz nawet jak wielkie znaczenie ma nauka sama przez się, choćby nawet żadnego widocznego pożytku nie przynosiła. Nie tylko chlebem żyje człowiek, Kochanku. — I potem chłopak opowiadał, jak stryj jego, powróciwszy szczęśliwie z téj wycieczki na północ, w parę lat później udał się znów dla takich samych obserwacyj astronomicznych do Kalifornii, gdzie umarł z gorączki, nie mogąc znieść niezdrowego klimatu.

Mijały lata, młody seminarzysta został księdzem, bracia jego także ukończyli nauki, żaden z nich jednak nie zapomniał o dowcipnej zabawce, obmyślonéj za czasów szkolnych. W roku 1751 ksiądz Chappe udał się do Paryża i przedstawił rządowi francuzkiemu projekt urządzenia na wielką skalę podobnych telegrafów na wysokich wieżach, ustawionych w pewnych odstępach od siebie. Pozwolono mu zrobić próbę w okolicach Paryża, wykonał ją z pomocą dwóch braci z wielkiém powodzeniem, ale w nocy pospólstwo zni-

szczyło telegraf, podejrzewając w nim spiszek lub zdradę. Nie zrażając się tém, bracia Chappe urządzili powtórnie próby swoich telegrafów i po raz drugi społeczeństwo rzuciło się na nie, spaliło przyrządy, zagrażając nawet wynalazcy, który musiał się ukryć na czas jakiś przed tém prześladowaniem.

Nakoniec wytrwałość jego została uwieńczoną pomyślnym skutkiem. Trzecia próba dokonana w r. 1793 nie była już przerywana przez niechętnych i ksiądz Chappe otrzymał od rządu upoważnienie i fundusze potrzebne na urządzenie linii telegraficznej pomiędzy Paryżem i miastem Lille.

W przeciągu lat kilku telegrafy tego rodzaju, zwane napowietrznymi, rozpowszechniły się w całej Francji i we wszystkich innych krajach europejskich. Wiadomości przesyłane za pomocą znaków bardzo szybko przechodziły do najodleglejszych okolic, w nocy zastępowano ruchome linijki płomieniami, z których także łatwo dawał się ułożyć cały alfabet, przez zapalanie i gaszenie pojedynczych płomyków.

Telegraf powietrzny miał jednak tę niedogodność, że tylko w dni pogodne przysyłał depesze, bo w czasie mgły niepodobna było dojrzeć znaków nawet przez najdoskonalszą lunetę. To też po wynalezieniu telegrafów elektrycznych, które są dziś w użyciu w całym świecie cywilizowanym, zupełnie tamte dawniejsze zarzucono. A jednak niesłusznie byłoby zapomnieć o nich, gdyż w swoim czasie telegrafy napowietrzne znakomite oddawały usługi, one też pierwsze ukazały możliwość takiej szybkiej komunikacji. Wynalazcy zaś, bracia Chappe, tém więcej



ZMARTWYCHWSTANIE (str. 229).

zasługują na przychylne wspomnienie, że pomysł ich powstał z miłości braterskiej, gdyż opowiadanie nasze jest ściśle historyczne.

M. J. Z.

PIAST.

OBRAZEK SCENICZNY.

(Scena przedstawia izbę wieśniaczą obszerzną w chacie Piasta: długi wązki stół, zastawiony obficie jedzeniem i dzbanami z miodem; kilku chłopców, parę dziewczyn, poubieranych jak starzy wieśniacy dziś się ubierają, siedzą za stołem uczując; Piast stary z białą brodą i Rzepicha młoda, częstują gości.)

PIAST (*wskazując potrawy*).

Jedzcie, pijcie, goście moi,
Ot pieczeń z niedźwiedzia nie lada!
Baran, kury, miód tam stoi,
Czém chata bogata tém rada!

RZEPICHA (*zapraszając*).

Kołacz świeży, dziś pieczony,
Skosztujcież mojego pieczywa!
(*Drzwi otwierają się w głębi i wchodzi nowi goście*).

NOWI GOŚCIE.

Czy to dom, gdzie nieproszony
Gość zawsze przyjęty bywa?

PIAST (*zapraszając*).

Gość w dom, Bóg w dom; obiór księcia
Za nagle was zebrał w Kruszwicy,
Nie dziw, że tam brak przyjęcia,
Choć radzi wam bracia w stolicy.
(*Goście jedni wstają, żegnają się z Piastem i odchodzą, inni zasiadają do stołu; we drzwiach zjawiają się nowi przybysze, a najprzód dwóch młodzieńców*).

MŁODZIEŃCY.

My podróźni; w całym mieście
Nie możemy nic dostać żywności.

PIAST (*zapraszając*).

Jedzcie, pijcie!

RZEPICHA.

Z sobą weźcie
Co w drogie: toć łaska od gości!
(*Młodzieńcy zasiadają i jedzą*).

I-y z GOŚCI.

Tak; za nagle obiór księcia
Zgromadził nas tłumnie w Kruszwicy,
Nie brak tylko *tu* przyjęcia,
Choć brak go w całej stolicy.

II-gi z GOŚCI.

Snadź gospodarz zabiegliwy
Jest Piast wasz, gosposiu Rzepicho!

RZEPICHA (*kiwając ręką*).

Stary! cichy, dobrotliwy,
Pracuje, i rządzi się cicho.

I-y z GOŚCI.

Dobrze rządzi!... ot by trzeba
Takiego, by rządził nam krajem!

II-gi z GOŚCI (*zrywając się*).

Słyszcie bracia! myśl mam z nieba;
Piastowi koronę oddaję!

WSZYSCY.

Zgoda! rządz nam Piaście prawy!
Kto dobry gospodarz w swój chacie,
Temu można bez obawy
Rząd kraju powierzyć: rządz bracie!

PIAST.

Bracia! nie mój to mądrości
Potrzeba, by rządzić wam gwoli;
Zostać mi już w mój mierności
Przy pługu, pasiece i roli!

WSZYSCY.

Prosim ciebie, ojczye Piaście!..
(*Rzepicha wnosi nowe potrawy*).

PIAST.

Napróżno, nie mówmy już o tém.
Jedzcie, oto owoc w ciastcie;
A dajcie mi spokój z kłopotem.
(*Nowi goście wchodzą, Piast ich gestem zaprasza*).

I-y z GOŚCI.

Chyba ściana się rozszerza
I jadło rozmnaża u Piasta!

RZEPICHA (*zapraszając*).

Oto misa jadła świeża!
(*Jeden z dwóch młodzieńców powstaje, błogosławiąc stół*).

MŁODZIEŃCIEC (*uroczyście*).

Więc niechże się mnoży, niech wzrasta!
(*Wszyscy patrzą nań zdziwieni, on schyleniem głowy żegna gospodarza, i odchodzi z towarzyszem*).

I-y z GOŚCI (*żegnając się z Piastem*).

Gdy nie chcecie nam królować,
Toć wracać nam trzeba na niwę,
Innej zgody popróbować!

PIAST.

Daj *Jesse* obranie szczęśliwe!

(*Goście rozchodzą się. Rzepicha uprząta izbę. Piast zadumany siada w izbie przed roztwartymi drzwiami, patrząc na świat. Po chwili Rzepicha wychodzi bocznymi drzwiami, a w głównych zjawiają się dwaj poprzedni młodzieńcy. Jeden z nich wyciąga ku Piastowi rękę i mówi, a w miarę jak mówi, płaszcze podróżne zsuwają im się z ramion tak, że widać jest, iż młodzieńcy ubrani są w białe anielskie szaty, i białe anielskie skrzydła mają u ramion*).

MŁODZIEŃCIEC.

Ten, który Jeden istnieje prawdziwie,
Który się poznać da twoim potomkom,
Wola swą natchnął Lechitów na niwie:
Piaście, rolniku! masz królem być ziomkom!
Pan was do wielkich przeznaczeń powoła,
Ziarnem wam kładąc królestwa być czerstwem,
Które przemocą nie skazi się zgoła,
Gdzie lud z rycerstwem złączy się *braterstwem*,

Póki braterstwo chować będziecie;
Murem stawając przed Pańskie ołtarze,
Póty was wiodąc, jak ojciec swe dziecię,
Pan z was uczyni potężne mocarze!
Idź więc tę spojnię rozwijać w zarodzie,
Cnoty rozbudź wśród ludu, karz winy!
By się stał godnym w *narodów narodzie*
Sercem być, jedném, jak Pan jest Jedyny.

(Aniołowie znikają ze drzwi. Piast zdumiony z wzniesionemi rękoma zdaje się słuchać ich jeszcze, gdy lud poprzedni wraca tłumnie, zapelniając wejście).

LUD (podając Piastowi czapkę książęcą):

Witaj nam, panie Lechickiej krainy!
Niebo się z ziemią na obiór twój wiąże:
Ciebie na ojca wszech-Lechji chcą syny,
Przekuj na szablę twój lemiesz, o książę!

PIAST.

O! nie! gdy mam wam ojcować w koronie,
Jeśli już nieba tak same zrzędziły,
Pług mi musicie postawić przy tronie;
W mieczu i w pługu Lechitów tkwią siły!

M..a.

Przygody Myśliwskie młodych osadników

W AFRYCE POŁUDNIOWEJ.

I.

Obóz młodych myśliwców.

Przy zbiegu dwóch strumieni, Kai Garip i Nu Garip, tworzących rzekę Pomarańczową, (Orange) zatrzymała się gromadka podróżnych. Rozłożono obóz po lewej stronie rzeki, pośród gęstwiny wierzb płaczących, o liściach srebrzystych i wiotkich gałęziach, pochylonych wdzięcznie ponad wodą. Wierzba płacząca, *salix babylonica*, jest drzewem niepospolitej piękności, ozdoba jej postać nie traci nawet przy palmie, tak słusznie książęciem lasów przezwanej. W Europie widok tych wierzb smętne w nas budzi uczucia, bośmy przywykli uważać je za godło żałoby, przezwaliśmy je *płaczucemi* i zasadzamy zazwyczaj przy grobach. Lecz w Afryce południowej drzewa te zupełnie odmienne wrażenie budzą w sercu podróżnika; tam, na piaszczystych równinach, rzadko gdzie napotkać można źródło lub strumień, a zielone warkocze wierzb płaczącej z daleka zwiastują bliskość wody, są zatem oznaką radości nie smutku.

W rzeczy samej, w obozie rozłożonym na brzegu rzeki Pomarańczowej, w cieniu wierzbowego gaju, panuje radość powszechna, wesołe śmiechy rozlegają się w powietrzu, powtarzane przez echa

okoliczne. Radzibyście dowiedzieć się zapewne, kto tam się śmieje tak ochoczo, a więc zajrzyjmy do obozu i zapoznajmy się bliżej z młodymi podróżnikami, których przygody opowiadać wam zamierzamy.

Noc już zapadła, ale przy blasku ogniska możemy dojrzeć ich twarze i przypatrzeć im się dokładnie. Jest ich sześciu, a żaden nie doszedł jeszcze lat dwudziestu. Są tam pomiędzy nimi i młodszy i starsi, a ze trzech chciałoby już uchodzić za ludzi skończonych.

Są to synowie dwóch bogatych osadników holenderskiego pochodzenia, których pospolicie nazywają *boerami* od wyrazu *bauer*, chłop. Henryk van Blum i Dietrich van Wyk są serdecznymi przyjaciółmi, obaj w młodości służyli razem w wojsku, lubią wspominać te czasy i opowiadać o bitwach, w których się odznaczyli. Dziś posiadłości ich graniczą z sobą, poženili się z dwiema rodzinami siostrami, każdy ma trzech dorodnych synów, a niedziw, że dzieci odziedziczyły po ojcach uczucia przyjaźni. Chłopcy uczęszczali wszyscy do szkół w mieście Kap, ale teraz starsi już ukończyli nauki, a młodszy mają wakacje i używają swobody.

Hans, najstarszy z synów van Bluma, jest szczupły, blady, zmęczyły go trochę egzamina, do których się przykładął z niezwykłą pilnością, to też ukończył nauki z odznaczeniem, otrzymał pierwszą nagrodę. Drugi, Henryk, większy jest i silniejszy od starszego brata, mniej zamiłowany w nauce, jest uczniem w szkole wojskowej, nawet i teraz ma na głowie czapeczkę mundurową, złotem wyszywaną. Trzeci, przezwany małym Jankiem, w rzeczy samej nie odznacza się zbyt okazałym wzrostem, chociaż jest nadzieja, że jeszcze trochę urośnie.

William, najstarszy syn van Wyka, wygląda jak olbrzym; większy od wszystkich towarzyszy, jest przytęm barczysty i silny. Ubior jego, niewykwintny wcale, składa się z kurtki z prostego sukna, wyrobionego w domu rodziców, z koszuli kolorowej w drobne kratki i skórzanych spodni, a wszystko to jest tak obszerne i buchaste, że chłopak wygląda jeszcze grubszy niż jest w rzeczywistości. Kapelusz filcowy z szerokim rondem spada mu na czoło prawie do samych oczu, buty nawet ma za wielkie na swoje nogi, widać, że w niczem nie lubi się krępować. A jednak William, przezwany grubasem, nigdy nie nadużywa swojej siły, nie wyrządziłby dobrowolnie krzywdy nawet drobnej muszce, łagodny, usłużny, lubiony jest powszechnie i zasługuje na to. Zawołany myśliwy, niesie strzelbę przewieszoną przez plecy, a oprócz tego potężną ładownicę napełnioną prochem i kulami.

CieŜar to nie lada, ale cóŜ to znaczy dla grubasa Williama?

Henryk van Blum jest takŜe pierwszorzednym myśliwcem, a chociaŜ nie chcemy tu uŜywać brzydkiego wyrazu zazdrości, powiemy wam jednak w zaufaniu Ŝe Ŝywe uczucie współzawodnictwa bardzo wyraŝnie siê objawia pomiędzy dwoma młodziencami. Henryk woli, karabin William strzelbê zwyczajną, wynikają ztąd często oŜywione spory, które jednak nigdy nie przekraczają granicy, przez przywoitość nakazanej, gdyŜ William, pomimo zaniedbaniej swój powierzchowności, zawsze przestrzega przepisów dobrego wychowania.

Arend, młodszy syn van Wyka, w całej postaci i ułoŜeniu wykwinniejszy jest daleko od starszego brata. Nie mniej przystojny od kuzyna swojego Henryka, nie podobny jest jednak wcale do niego. Henryk ma włosy jasne i cerê białą, Arend włosy i oczy ciemne, a cerê ogorzałą. Cały ród van Wyków odznacza siê ciemnymi włosami, pochodzą bowiem z tych okolic Holandyi, których mieszkańcy przezwani sã czarnymi Holendrami.

Ubiór Arenda jest strojny i bardzo mu w nim do twarzy. Ma on na sobie kurtkę ze skóry antylopy, zgrabnie skrajaną, starannie wystębnowaną i przyozdobioną skórą lamparcią. Spodnie z tego samego materiału, oszyte suto takiemŜe samem futerkiem, uzupełniają ten strój bogaty i wytworny. Arend, tak samo jak Henryk, nosi czapeczkę wojskową, gdyŜ w teŜej samej szkole sposobi siê na wojaka.

Pozostaje nam jeszcze skreślić wizerunek Klaasa, najmłodszego z van Wyków. Młodzienc ten i wiekiem i wzrostem zbliŜa siê do Janka van Bluma, ale róŜni siê znacznie tuszą. Janek wysmukły jest i zgrabny, Klaas krêpy i gruby, pasek Janka nie doszedłby mu do połowy. Obaj chłopaki ubrani sã w krótkie kurteczki, szerokie spodnie i kapelusze o szerokich skrzydłach. Sã kolegami szkolnymi z jednêj klasy, a chociaŜ niepodobni do siebie, kochają siê niezmiernie; i oni takŜe uprawiają z zapałem myśliwską sztukę, szczególnie celują w łowieniu wszelkiego rodzaju ptactwa. Za całą broń mają strzelby, srótem nabite, to teŜ nie porywają siê jeszcze na wiêkszą zwierzynę, ale przepiórki i kuropatwy, z którymi siê spotkają po drodze, będą siê miały z pyszna. Wspomnieliśmy wyŜej o współzawodnictwie, istnjącem pomiędzy dwoma starszymi, tu musimy dodać, Ŝe i dwaj najmłodsi emulują z sobą w myśliwskim zawodzie. Nieraz nawet z tego powodu przychodziło do sprzeczki i lekkich niesnasek, nigdy jednak nie trwających długo.

Hans i Arend nie doœwiadczaŝi nigdy żadnego

uczucia zazdrości względem towarzyszy; Hans ma usposobienie zanadto powaŜne, aby miał komukolwiek zazdrościć zalet powierzchownych; zresztą nie ma on zŷtniego upodobania do myślistwa, jest przyrodnikiem z powołania, a w tém nie dorówna mu żaden z towarzyszy, cała gromadka ceni wysoko jego naukę i polega na jego zdaniu. Arend nie ma żadnych wyłącznych upodobań; jest to chłopak niezmiernie skromny, pełen prostoty. A jednak posiada mnóstwo przymiotów; przystojny, odwaŜny, szlachetny, powszechnie teŜ jest kochany.

II

Buszman i Zulus.

Wiecie juŜ, czytelnicy, Ŝe młodzi nasi znajomi rozłóŜyli obóz nad rzeką Pomarańczową; ale ciekawi jesteście zapewne, w jakim celu tu przybyli? Miejsowość ta jest znacznie oddalona od mieszkania ich rodziców, zarówno jak i od miasta Kap. W całej okolicy niema tu mieszkań osadników, biali ludzie rzadko kiedy zabiegają w te strony, chyba handlarz jaki, dążący w głąb Afryki, dla wyłudzenia od krajowców róŜnych towarów, lub pasterz wędrowny, który szuka nowych pastwisk dla swojej trzody. Kraj ten jest zupełnie bezludny, prawdziwa to pustynia.

CóŜ więc przywiodło tu naszych młodzienców? Po prostu chęć polowania. Wyprawa ta od dawna była zamierzona, ale ją odkładano do wakacyj. Teraz, gdy wszyscy mieli czas po temu, postanowili wyruszyć poza granicę Kaplandyi, poszukać okazalszej zwierzyny, gdyŜ w pobliŜu osad nawet antylopy w coraz mniejszej ilości siê pojawiają. Młodzi podróżnicy nie wytknęli sobie z góry planu podróŜy, zamierzają więc wędrować, gdzie oczy poniosą, póki ochoty starczy, nie licząc siê z odległościami. Rodzice zezwolili na to i dostarczyli im na drogę wszelkich potrzebnych przyborów. KaŜdy z nich ma dobrego konia wierzchowego, oprócz tego kaŜda braterska trójka zabrała z sobą wielki wóz, naładowany zapasami wszelkiego rodzaju, amunicją i róŜnemi przedmiotami, niezbędnymi dla wygody w podróŜy. KaŜdy wóz ma swego woźnicę, a kaŜdy zaprząg składa siê z pięciu par wołów o długich rogach. Woły wypręŜone uwiązane sã teraz do wozów, a konie rozsiodłane do drzew. Przy ognisku widzimy słońce psów, o sierści najeŜonej; z oczu im widać, Ŝe nie ułękna siê porwać na antylopę.

Musimy jeszcze przedstawić czytelnikom dwóch ludzi, naleŜących do teŝj podróŜnej gromadki. Oni waŜny udział biorą w wyprawie, bez nich wozy na nicby siê nie przydały; domyœlacie siê zapewne, Ŝe

mówimy o woźnicach, a żaden stangret, siedzący na koźle herbowego pojazdu, nie był dumniejszym od nich, przy spełnianiu zaszczytnych swych obowiązków.

Obaj mają cerę krajowców afrykańskich, a jednak przedstawiają dwa odmienne typy. Jeden ma głowę ogromną, wystające policzki, nos spłaszczony i szerokie nozdrza, małe oczki ukośne, właściwe rasie mongolskiej; małego wzrostu i bardzo niezgrabny, odziany jest w czerwoną flanelową koszulę i spodnie skórzane; kosmyki włosów kędzierzawych, dość skąpo rozsypane na jego głowie, wyróżniają się znacznie od murzyńskiej czupryny, twarz ciemno żółta, bardzo brzydka, pomimo to nie sprawia wcale przykrego wrażenia, gdyż zawsze jest wykrzywiona pocziwym, choć niezbyt wdzięcznym uśmiechem. Facetan, tak się nazywa wierne sługa młodych van Blumów, pochodzi z plemienia Hotentotów Buszmanów; ta ostatnia nazwa znaczy właściwie mieszkanię krzaków.

Woźnica młodych van Wyków różni się od Facetana, jak jeleń od niedźwiedzia. Najpierw jest znacznie większego wzrostu, cerę ma ciemniejszą, nie zupełnie czarną, ale ciemno brązową, włosy jego, daleko dłuższe i gęstsze, z lekka tylko są kędzierzawe, nos wielki, prawie orli, oczy duże i błyszczące, zęby białe, równe, usta niezbyt szerokie, kształty proporcjonalne i zgrabne, wszystko to nadaje mu powierzchowność okazałą, która uderzającą sprzeczność stanowi z drobną, pocieszną figurką Buszmana. Ubiór jego wygląda bardzo strojnie, składa się z krótkiej spodniczki, spadającą na obnażone łydki. Spodniczka ta z osobliwszego materiału jest zrobiona, bo nie z żadnej tkaniny, ale z szerokiej puszystej frenzli. Przypatrując się bliżej, można spostrzedz, że ta bogata draperya składa się poprostu z ogonów pewnego gatunku antylopy, zwaną *gnu*, uczepionych gęsto u pasa. Rodzaj płaszcza ze skóry lamparciej dopełnia tego stroju, nie licząc już rozlicznych ozdób, jak naszyjnik ze szklanych paciorków, obrączki miedziane na nogach i rękach, i wspaniałe pęk piór strusich na głowie. Człowiek ten zowie się Kongo, jest Kafrem z plemienia Zulusów.

Naród Kafrów najczęściej zacięte walki prowadzi z Boerami, nie zważając jednak na to, nieraz wojownicy, zrzucawszy pychę z serca, idą w służbę do swoich przeciwników; zresztą obowiązek woźnicy nie jest wcale uważany w tym kraju za coś poniżającego, i można widzieć synów najbogatszych osadników, siedzących na koźle ogromnego wozu i powożących wprawdzie zaprzęgiem rogatych wołów, z długim bambusowym batem w ręku. Kongo jest zbiegiem; przed kilku laty musiał się chronić przed prześladowaniem

okrutnego władcy i znalazł obronę i opiekę w posiadłościach angielskich. Przyłgnał też chętnie do życia cywilizowanego, chociaż nie wyrzekł się wspomnień ojczyzny i zachował strój narodowy. Trzeba też przyznać, że wspaniałe wygląda w draperyi z białych puchów i lamparcim płaszczu, i nie dziw, że nie chciał zamienić tych szat malowniczych na ubiór europejski, w którymby mu pewnie nie było tak do twarzy. Zalus jest niezmiernie przywiązany do swoich panów i zjednał sobie w ich domu powszechną życzliwość.

Jeden tylko Buszman Facetan nie sprzyja mu wcale i zazdrośnym okiem spogląda na niego, nie chcąc uznać wyższości jego nad sobą. Jest to także rodzaj emulacyi; tak, jak Henryk i William, Klaas i mały Janek, współzawodniczą z sobą w sztuce myśliwskiej, tak znów Facetan i Kongo starają się prześcigać w sztuce powożenia, ale w emulacyi woźniców jest daleko więcej zawziętości.

Młodzi nasi Boerowie nie mają z sobą innych sług, oprócz tych dwóch woźniców, Rodzice mogli im byli zapewne dać orszak daleko liczniejszy; u tak bogatych osadników, jak van Blum i van Wyk, nie braknie służby wszelkiego rodzaju, ale dwaj starzy żołnierze nie widzą potrzeby rozpieszcać silnych i zdrowych chłopaków, ani przyzwyczajać ich do zbytków i wygódek.

— Wybieracie się na łowy — powiedzieli im obaj ojcowie — to bardzo dobrze, ale trzeba, żebyście obok przyjemności zakosztowali i trudów. Każdy z was dostanie konia i broń, weźmiecie z sobą wozy z żywnością i amunicją, będziecie też mogli na nie naładować zwierzynę, którą wam się uda upolować. Zresztą radźcie sobie sami we wszystkim.

Młodzieńcy przyzwyczajeni byli od dzieciństwa ohywać się bez usługi i umieli sobie wystarczyć. Od najstarszego do najmłodszego, każdy potrafi doskonale zdjąć skórę z antylopy i upiec z niej kotlety na ogniu. Innych przysmaków nie potrzebują i nie pragną, apetyt zaostrzony ruchem na świeżem powietrzu starczy im za najwykwintniejszą przyprawę.

Myśliwi nasi już od kilku tygodni są w drodze i nie mało przez ten czas nabili ptactwa i drobnej zwierzyny, nigdzie jednak nie widzieli jeszcze grubego zwierza i żadna im się nie wydarzyła przygoda, o którejby warto było wspominać. Od dwóch dni naradzają się nad ważną bardzo kwestyją. Szło o to, czy mieli przebyć rzekę, kierując się dalej na północ, gdzie mogli napotkać girafy i słonie, czy też pozostać na południowym wybrzeżu i poprzestać na antylopach rozlicznych gatunków. Po długiej naradzie, postanowili przejść na drugi

brzeg rzeki Pomarańczowej i tam spędzić cały czas, przeznaczony na łowy, to jest resztę wakacji.

William najwięcej na to nastawał, a i naturalista Hans gorąco popierał jego zdanie. William miał ogromną ochotę zapolować na słonie i bawoły, dotąd bowiem nie miał sposobności zbliżyć się do tych olbrzymów leśnych, a młody uczonej nie mniej serdecznie pragnął zapoznać się ze światem zwierzęcym i roślinnym tej strefy, którą miał zwiedzać po raz pierwszy. Młodszy, po niejakiem wahaniu, jednogłośnie przystali na żądanie dwóch starszych.

— Naprzód więc, naprzód, na północ! — zawołano chórem — tam spotkamy słonie i girafy!

W chwili, gdy opowiadanie nasze się rozpoczyna, młodzi boerowie gotują się do przebycia rzeki w bród w miejscu, gdzie woda zazwyczaj bywa bardzo płytka. Ale na nieszczęście rzeka nagle wezbrała, musieli więc obóz rozłożyć na brzegu, czekając aż spadnie nieco i można będzie przebyć ją bez niebezpieczeństwa.

III

Przebycie rzeki w bród.

Nazajutrz młodzi myśliwi zerwali się o świcie i natychmiast poszli obejrzyć stan wody. Z radością spostrzegli, że znacznie spadła, o czém łatwo było przekonać się po śladach, które usuwające się fale zostawiły na drzewach nadbrzeżnych.

W strefach zwrotnikowych, a zwłaszcza w okolicach górzystych, wszystkie rzeki i strumienie daleko gwałtowniej przybierają, aniżeli w naszej strefie umiarkowanej. Pochodzi to ztąd, że w gorącym klimacie spada ogromna ilość deszczów, i to nie kroplami, jak u nas, ale w taki sposób, jakgdyby ogromna masa wód potopem spływała na ziemię; gdy deszcz podobny potrwa przez kilka godzin, ziemia pochłonać go nie może, a wszystkie rzeki i potoki wzbierają nadzwyczaj szybko. Nasze największe ulewy słabe tylko dać mogą o tём wyobrażenie, a jednak i u nas zwykle po burzy drobne strumienie i rynsztoki wyglądają jak rzeki. U nas wielka ulewa nigdy nie trwa długo, ale wyobraźcie sobie potoki deszczu, spadające przez tydzień i dłużej bez ustanku, a pojmiecie groźne rozmiary powodzi w krajach zwrotnikowych.

Łatwo jest także wytłómaczyć, dla czego tam wody, wezbrane gwałtownie, równie gwałtownie spadają. Gdy nasze rzeki zasilane są w znacznej części przez topniejące śniegi i lody, pod zwrotnikami cały zapas wody czerpią jedynie z deszczów, nic też dziwnego, że jak tylko posucha potrwa przez czas dłuższy, woda zupełnie opada w rze-

kach. Dodajmy do tego, że palące promienie słońca przyspieszają niezmiernie parowanie wody i ziemia przy takiej temperaturze chciwiej daleko ją pochłania, a zjawisko wylewów i nagłego opadania rzek stanie się dla nas zupełnie zrozumiałem.

Młodzi myśliwi nie zadziwili się widząc, że woda tak znacznie spadła w przeciągu jednej nocy, nie byli jednak pewni, czy rzeka da się w bród przebyć z łatwością. Wiedzieli wprawdzie, że w tём miejscu przejeżdżali zazwyczaj Hottentoci i inni krajowcy, handlarze, boerowie udający się na łowy, ale wiedzieli także, iż głębokość rzeki ustawicznie się zmienia, a trudno było odgadnąć, w jakim stanie obecnie się znajdowała. Dna nie mogli dojrzeć, gdyż woda była żółta i mętna, jak zwykle w czasie powodzi; niepodobna więc było poznać, jaka głębina ukrywa się pod tą powierzchnią, prąd był niezmiernie przyspieszony i roztropność nakazywała nie puszczać się na oślepa na rozłukane fale.

Co tu robić? Pilno im było dostać się na drugą stronę, ale nie mieli ochoty narażać się bez potrzeby na niebezpieczeństwo.

Henryk podał projekt, ażeby się puszczać śmiało w wodę, nie zsiadając z koni, gdyż pewny był, że dzielne ich wierzchowce w każdym razie wpływ przebędą rzekę. William potwierdził to zdanie, gdyż nie chciał się okazać mniej odważnym od Williama, ale Hans, najstarszy z całej gromadki, poważany przez wszystkich, jako najrozsądniejszy, stanowczo się temu sprzeciwił. Najdzielniejsze konie, jak mówił, nie zawsze zdołają się oprzeć gwałtowności prądu, a gdyby ich raz w bok uniosły, zginęliby niezawodnie w nurtach rozłukanych. Zresztą, choćby konie dostały się szczęśliwie na drugą stronę, na nichy się to nie przydało, bo wozy i woły nie mogłyby za nimi podążyć. Nie było więc innego sposobu, tylko czekać cierpliwie, aż woda opadnie na rzece, co musiało nastąpić najdalej za dwadzieścia cztery godziny.

Rada to była najrozsądniejsza, Henryk i William to przyznali, chociaż obaj gorąco pragnęli obaczyć jaknajprędzej bawoły i girafy; niebezpieczeństwo ich nie odstraszało, ale przeciwnie nęciło, Henryk zwłaszcza odważnym był prawie do zuchwalstwa i nie tyle marzył o myśliwskich tryumfach, ile o nadzwyczajnych przygodach. Musieli jednak przyznać, że dla wołów i wozów przeprawa wpływ była niemożliwa, i z żalem zgodzili się czekać cierpliwie, choćby i całą dobę.

Nie czekali jednak i do wieczora; w godzinę niespełna, nietylko jeźdźcy na koniach, ale i woły z wozami szczęśliwie przebyły rzekę, i mała gromadka podróżnych wjechała na rozległą łąkę, rozciągającą się po drugiej stronie rzeki. Cóż zdo-

łało tak nagle zmienić postanowienie naszych myśliwych? Jakim sposobem przekonali się, że woda nie była już nadto głęboka dla wołów i wozów? Kongo dokazał téj sztuki.

Podczas gdy młodzieńcy spoglądali na powierzchnię wody, nie mogąc odgadnąć jej głębokości, Zulus stanął na brzegu i zaczął kamyki rzucać w rzekę jeden po drugim. Chłopcy sądzili, że to zwyczajna zabawa lub jakiś zabobonny obrządek, nie zważali więc na niego i dalej żwawo rozprawiali; ale Buszman uważnie śledził oczyma wszystkie ruchy Zulusa, a na twarzy jego malowało się wielkie zajęcie i ciekawość. Nagle nasz Facetan roześmiał się na całe gardło i szydzić zaczął z towarzysza, a słowa jego zwróciły uwagę młodzieńców.

— Kongo, czyś ty oszalał? — wołał Facetan — Tobie się zdaje, że dojdiesz tym sposobem, czy woda głęboka? ależ to żarty, przyjacielu.

Zulus nie raczył odpowiedzieć, nie poruszył się nawet, jak gdyby nie słyszał téj mowy i dalej w najlepsze rzucał kamyki w wodę. Młodzi myśliwi zaczęli mu się pilnie przypatrywać i przekonali się, że nie rzucał ich bezmyślnie, lecz widocznie miał w tém jakieś wyrachowanie. Ile razy kamyk wpadł w wodę, on się pochylał, nastawiał ucha i pilnie się przysłuchiwał odgłosowi. Następnie rzucał drugi i słuchał znowu.

— Co tam robi twój Kongo? — zapytał Henryk Williama.

— Nie wiem — odpowiedział tamten — ale to pewna, że musi w tém coś być, bo Kongo jest bardzo roztropny i nic nie robi bez przyczyny. Trudno jednak odgadnąć, co to może znaczyć — a zwracając się do Zulusa, zawołał donośnym głosem:

— Co ty robisz, przyjacielu?

— Próbuje, czy woda głęboka — odpowiedział Kongo z poważną miną.

— Czy to te kamyki mają ci odkryć głębokość wody?

Zulus kiwnął głową na znak potwierdzenia.

— Co on prawi! — zawołał Facetan, urażony tém, że na współzawodnika jego zwracano uwagę — to szaleństwo, zkąd on się może dowiedzieć takiéj rzeczy.

Kongo i tym razem odpowiedział pogardliwem milczeniem na te szyderstwa, które go jednak widocznie drażnić zaczynały, nie przestawał też rzucać kamyków w rzekę, aż póki ostatni nie padł tuż prawie przy drugim brzegu, co najmniej o sto metrów od miejsca, na którym stał nasz Zulus. Wówczas wyprostował się z pewnym rodzajem dumy, i zwracając się do młodzieńców, rzekł z uszanowaniem:

— Panowie, możemy przebyć rzekę w bród bez najmniejszego niebezpieczeństwa.

Oni patrzali na niego z niedowierzaniem.

— Jakże ci się zdaje, ile głębokości mieć może woda? — zapytał najstarszy z van Blumów.

Kongo położył rękę na biodrach, chcąc tém dać poznać, że woda w rzece do bioder mu dosięgnie.

— Co on plecie — mruczał Facetan — woda musi być bardzo głęboka, on wszystkich chce potopić.

— Chyba ty jeden się utopisz — odburknął Zulus, spoglądając na Buszmana, który z powodu małego swego wzrostu był przedmiotem najwyższej jego pogardy.

Młodzi myśliwi parsknęli śmiechem, a Facetan urażony z razu nie mógł słowa przemówić z wielkiego wzruszenia, ale wkrótce odzyskał mowę i krzyczał zaperzony cały:

— Pleciesz niedorzeczności, ty stary jakiś murzynie, nie dbasz wcale o to, czy nie narobisz szkody; a co będzie, jak potopisz wszystkie woły i wozy zaprzepaszczisz? Kiedyś taki mądry, to sam najprzód przejdź przez rzekę, a nie popychaj innych do zguby.

Facetan sądził, że w kłopot wprowadzi Zulusa, nie wyobrażał sobie, że ten odrazu przyjmie jego wyzwanie, nie przewidywał też wcale upokorzenia, jakie go miało spotkać za chwilę. Zaledwie wymówił te nierozważne słowa, gdy Kongo, nie wiele myśląc, posunął szybko do brzegu i wszedł natychmiast w wodę.

Młodzieńcy widząc to i obawiając się, aby życiem nie przypłacił swéj śmiałości, zaczęli wołać na niego, aby się zatrzymał. Ale miłość własna Zulusa zaudała była pobudzona żartami Facetana, nie usłuchał więc tych przestróg i szedł dalej. Nie wskoczył jednak nierozważnie do wody, lecz z całym spokojem przedsięwziął środki ostrożności. Schylił się i podniósł wielki kamień, leżący na samym brzegu i wążący najmniej z pięćdziesiąt kilogramów, potem śmiało szedł naprzód, a kamień obiema rękami trzymał ponad głową.

Nasi myśliwi, z razu zdziwieni, wkrótce ten pomysł Zulusa zrozumieli. Ten kamień miał mu dodać ciężaru, aby mógł łatwiej stawić opór prądowi wody. Powodzenie uwieńczyło zuchwałę jego przedsięwzięcie i w kilka minut doszedł do drugiego brzegu zdrowo i cało. Gorące wiwaty uczyły ten czyn bohaterski, ale Buszman nie przyłączył do nich swego głosu. Kongo tym samym sposobem powrócił i niezwłocznie zabrał się do zaprzęgnięcia swoich wołów do wozu. Młodzi myśliwi wieszowali mu szczerze i cała gromadka śpiesznie gotowała się do drogi; siadłano konie, zwoływano

psy, wozy ruszyły naprzód, a za niemi podążali jeźdźcy i, jak już widzieliśmy wyżej, wkrótce puścili się w dalszą drogę po drugiej stronie rzeki, zmierzając na północ.

(D. c. n.).

ROZMAITOŚCI.

Sposób urządzenia małego ogródka pokojowego.

Zieloność w pokoju jest bardzo przyjemna w każdej porze roku. Najskromniejsza izdebka zaraz ozdobić i świeżej wygląda, jeśli się w niej ustawi na oknach kilka doniczek z liściastymi roślinami. Ślicznie też wyglądają owe piramidki, słupki, podstawki, zasiane rzerzuchą, które zwykle ustawiają w dniu Wielkiejnocy na stole, obok święconego. Podamy wam sposób urządzenia przepysznej kuli zielonej, którą można zawiesić w oknie, na słońce wystawioną, gdzie ślicznie będzie wyglądała.

Weźcie gąbkę najprostszą, byle dużą, umaczajcie ją w ciepłej wodzie, niech dobrze nasiąknie, wyciśnijcie ją potem bardzo lekko, ażeby w niej jaknajwięcej wilgoci zostało i ponasypujcie w otwory gąbki różnych nasionek: owsa, prosa, trawek rozmaitych, koniczyzny, wszelkich roślin, łatwo i prędko wschodzących. Zawiesiwszy tak przyrządzoną gąbkę na sznurku w oknie, pamiętajcie tylko skrapiać ją codziennie wodą, a wkrótce się zazieleni. Najładniej wygląda taka kula, jeśli się dobrać rośliny, mające liście rozmaitych odcieni, ciemniejszych i jaśniejszych.

Z a g a d k a.

Pewien człowiek, mający wzrostu 33 cale, mieszkał na dworze królewskim; nazwisko jego można napisać jedną literą powtórzoną dwa razy.

Łamigłówka zgłoskowa (Z. W.).

Z następujących zgłosek: a—a—ach—beck—da—dra—i—i—ka—ka—ka—kan—ksan—kul—le—lu—lus—lisz—ma—med—mo—ne—ni—o—o—on—pan—re—ros—si—ście—te—tki—uj—ver—wo—zop. ułożyć 13 wyrazów, których pierwsze litery utworzą imię i nazwisko autorki dla młodego wieku, a końcowe tytuł jej dzieła.

Znaczenie wyrazów: 1) Świątynia, 2) Dzieło sztuki kucharskiej, 3) Miasteczko w Galicyi, 4) Sławny Rzymianin, 5) Roślina, 6) Król egipski,

7) Władca turecki, 8) Miasto w Polsce, 9) Sławny muzyk, 10) Imię, 11) Dygnitarz turecki, 12) Sławny malarz niemiecki, 13) Ciecz polspolita.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 13-go.

Sz a r a d y:

Kra — szew — ski.

Szarady podwójnej:

Lu — cia.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panienkom w Słupcy. Odpowiedź na poprzedni liścik była zamieszczona w N-rae 13. opóźniła się troszkę dla braku miejsca. Nadesłaną ofiarę odesłaliśmy do Redakcyi Kuryera Warszawskiego, gdzie niezwłocznie ogłoszona była. W odpowiedzi nie wspomnieliśmy o tém, czyniąc zadość życzeniu naszych korespondentek, które później zapewne o tém zapomniały.

Tadziowi Kr. Szarada trafnie odgadnięta, a liścik bardzo starannie napisany zasługuje na pochwałę. Zagadka historyczna będzie zamieszczona w dodatku dla małych dzieci, gdyż dla starszych byłaby za łatwa. Po historią należy się udać do księgarni pana Orgelbrandta, gdzie jest obecnie skład główny tej historii.

Maryni Ch. Łamigłówka trafnie odgadnięta; prosimy na drugi raz o dłuższy liścik, bo miło jest czytać tak wyraźne i kaligraficzne pismo.

Karolci Gr. Spostrzegliśmy dopiero oddając rękopis do druku, że był podpisany pseudonimem, któryśmy pozostawili. Redakcyja Kroniki Rodzinnej za pośrednictwem naszym odpowiada, że nie może wymieniać nazwisk autorów, podpisujących się początkowymi literami, bez ich zezwolenia, gdyż podpis podobny ma właśnie na celu, aby nazwisko nie było powszechnie znane. Co do pani T. T. nie mogliśmy się dowiedzieć żądanych szczegółów, ale się o to postaramy.

Rózi D. w Berdyczowie. Zawsze z wielką przyjemnością witamy znane pismo, bo każdy liścik przynosi nam tyle życzliwych i uprzejmych wyrazów. Szarady będziemy odtąd podpisywać, przez nieuwagę zapewne opuściliśmy podpis; wszystkie z kolei będą drukowane. Zamawiamy też sobie i nadal tak pożyteczną współpracowniczkę.

Nikołaj i Witold J., uczniowie Carycyńskiej szkoły, nadesłali na szpitalik dziecinny rs. 3, włożono je do puszeki, która znajduje się w naszej redakcyi.

Panu Sewerynowi M. w Muchafokach. Biesiada zaprenumerowana; z dodatkiem kosztuje rs. 4. Wieczory rs. 2 kop. 25. Pozostaje rs. 1 kop. 45 na historią. Dwa pierwsze tomy wysłane.

Manuli w Starym Konstantynowie. Już i my także stęskniliśmy się za miłymi liścikami kochanej naszej korespondentki, która tak solennie obiecywała o nas pamiętać. Widok tak ładnego pisma zawsze nam wielką sprawia przyjemność, cieszymy się, że *Wieczory* zajmują czytelników, nie szczędzimy też starań, aby treść ich coraz więcej była urozmaicona. A teraz prosimy, aby liściki tak miłe i staranne jaknajczęściej nadchodziły do Redakcyi.